

Wspomnienia z obozu zagłady w Stutthof.

Leszek Czyż

Przelecieć ponad drutami ... - wspomnienia z KL Stutthof.



Piotr B... utler urodził się 7 marca 1910 roku w rodzinie chłopskiej w Lemanie (powiat kolneński, woj. podlaskie). W 1930 roku poślubił Aleksandrę z domu Czyż, która zmarła w 1950 r. Ponownie ożenił się w 1951 roku z Aleksandrą z domu Nowak z Janowa. Druga żona po ciężkiej chorobie również zmarła w 1983 roku. Został sam. Całe życie ciężko pracował na roli w swoim rodzinnym Lemanie i tutaj w samotności dożył swoich dni. Jego syn Mieczysław z rodziną mieszka w Pieszku.

To było w sierpniu 1943 roku. Piotr miał wtedy 33 lata. Ludzie akurat zwozili żyto do stodoł, a niektórzy już młócili. Inni kopali lub przekładali torf do suszenia. Tego dnia w południe do Lemana wjechało pięć samochodów: cztery mniejsze, a jeden duży, ciężarowy. Niektórzy spodziewali się, że przyjadą i zawczasu ukrywali się. Piotr poprzednią noc spędził w lesie. Ta łapanka była niemieckim odwetem za masakrę, którą pewien oddział AK urządził w Turośli Pruskiej. Zamordowali tam wielu niewinnych ludzi, starców, kobiety i dzieci. Niemcy zapowiedzieli, że za jednego Prusaka pójdzie stu Polaków.

Jak do tego doszło? 17 lipca 1943 r. Niemcy dokonali pacyfikacji wsi Krasowo - Częstki. Zginęło co najmniej 257 osób z 47 rodzin. Widzieli to partyzanci z oddziału Stanisława Karolkiewicza „Szczęsnego”. Karolkiewicz podjął decyzję o odwecie. Wyznaczył cel uderzenia, leżącą w Prusach Wschodnich, wieś Turośl. To była w owym czasie duża miejscowość, z nadleśnictwem, posterunkiem żandarmerii, murowanym kościołem. Oddział „Szczęsnego” liczący około 30 partyzantów zaatakował w nocy z 14 na 15 sierpnia 1943 r. Ustalono, że najpierw będzie zlikwidowany Herbert Opitz, 49 - letni leśniczy z pobliskiego leśnictwa Dębniak (Eichenwalde). Był wysoko postawionym funkcjonariuszem NSDAP i SA i ze szczególnym okrucieństwem traktował polskich robotników. Odcięto połączenia

Wspomnienia z obozu zagłady w Stutthof.

telefoniczne z Johannsburgiem (Piszem) i zablokowano drogi wylotowe ze wsi. Część partyzantów z dowódcą udała się do leśniczego Opitz'a. Jeden z robotników wywołał Niemca z domu, zastrzelono go, a potem jego żonę i dwoje dzieci. Następnie rozpoczęto akcję we wsi. W ogniu stanęło wiele budynków, a zginęło prawdopodobnie kilkanaście osób (niektóre źródła mówią nawet o 40 osobach). Niestety śmierć poniosły również osoby cywilne, także dzieci. Polski oddział spod Turośli wycofał się niemal bez strat własnych. Uwolniono znaczną grupę przymusowych robotników, którzy w większości uciekli do swych domów. Jednakże Niemcy w odwecie zorganizowali łapankę w kilku wsiach gminy Turośl leżących wzdłuż granicy, m. in. Łasze, Zimnej i Lemanie.

Tak wspomina ten czas Piotr Butler: Najpierw pojechali do Turośli Polskiej do wójta; podobno po zezwolenie. Jadąc z powrotem zatrzymywali się w Cieciorach, w Łasze. Łapali kogo popadnie. Jeździli po wszystkich okolicznych wsiach: Nowej Rudzie, Wanacji, Ksebkach, Łączkach. Kiedy wjechali do Lemana - u Koszewskich akurat młócili - zatrzymali się przy zagrodzie Łukasza Lemańskiego. Jeden z Niemców poszedł do sołtysa Marchewki, a dwóch w przeciwnym kierunku. We wsi padły pierwsze strzały. Zacząłem uciekać do lasu. Nim dobiegłem do, Niemcy zdążyli przeciąć mi drogę. Nie było sensu dalej uciekać, mogłem zginąć. A wystarczyło schować się do piwnicy. Do mojego domu nie wchodzili. Byli i tacy, którzy w ogóle nie uciekali. Sądzili, iż skoro są niewinni, to Niemcy im nic nie zrobią. Niemcy jednak nie szukali winnych. Brali każdego, kto im się nawinął. Mój sąsiad, Janek Czyż, szedł z koszykiem przewieszonym przez ramię do ogrodu po warzywa. Zawołali go, gdy był jeszcze na podwórku. Nie zdążył nawet pożegnać się z rodziną, której nie dane mu było już nigdy zobaczyć. Natomiast Bandurski szedł wtedy kosić owies. Niemcy czekali na górce. Gdy przyprowadzili go do samochodu, miał jeszcze osłę w kieszeni. Wyciągnął, popatrzył na nią przez chwilę i wyrzucił na drogę. Łukasz Lemański, gdy go zabierali akurat młócił. Kiedy weszli do stodoły, rzucił cepy na klepisko i poszedł prosto do samochodu. Zaraz po nim przyprowadzili Szczepana Olszewskiego. On miał szansę ucieczki. Gdyby nie wrócił do chałupy, to może by go nie złapali. Przy samochodzie stało dwóch żołnierzy, którzy ich pilnowali. Stali dość daleko, więc można było uciec, ale nikt się nie odważył. Wszyscy się bali; nie tyle o siebie, co o swoją rodzinę. - Ja pójdę - mówili - ale rodzinę zostawię mi w spokoju. Najpierw zawieźli nas do Snopek koło Pizsa. Potraktowali nas jako więźniów politycznych. Na przesłuchaniu wypytywali o przynależność do organizacji politycznych. Podczas tego badania dostałem 25 batów. Innych też bili. Wiem, że niektórych zawieźli do Pizsa i tam ich torturowali. Bili nas dość często. Ci, którzy byli bardziej odporni, mieli grubszą skórę - cierpieli dłużej z powodu siniaków i krwiaków. Mnie było lżej. Bat przecinał mi skórę i zeszło dużo krwi. W końcu zemdlałem. Odzyskałem przytomność, gdy wrzucili mnie do takiej dużej balii z wodą. Trzymali nas w barakach. W nocy pilnowało nas wojsko, a w ciągu dnia jacyś cywile. Po kilku dniach doszedł do nas jakiś nowy. Wyglądał jakby był zbity. Nie wiedzieliśmy, kim jest i skąd pochodzi. Chłopcy nie mieli papierosów, a on ciągle wyciągał jakieś upałki. Dziewczyny, które trzymali w pomieszczeniu obok, ostrzegły nas, że to jakiś tajniak. Niestety za późno. Był między nami organista, niejaki Krupka. Wzięli go na ponowne przesłuchanie i wydało się, że nie jest - jak podawał - zwykłym rolnikiem. Niemcy nie lubili takich. Początkowo Krupka nas posądzał o zdradę. Nawet nie chciał z nami różańca

Wspomnienia z obozu zagłady w Stutthof.

odmawiać.

Po trzech tygodniach część więźniów przewieźli do Działdowa. Myśleliśmy, że nas zwolnią do domów. Zastanawialiśmy się nawet, gdzie nas odwiozą, czy do Jeży, czy do Uścian ... Oddali nam nawet wszystkie nasze rzeczy, które uprzednio zarekwirowali. Następnego dnia rano wydali nam na śniadanie zupę, a później kaszę. Zaczęliśmy coś podejrzewać. Kiedy wydano dla każdego porcję chleba, wszyscy ostatecznie zwątpili w rychłe zwolnienie. Kazano nam opuścić baraki. Wojsko uformowało z nas kolumnę marszową i pod strażą poszliśmy do Piza. Tam załadowano nas do wagonów bydlęcych i cały transport ruszył na zachód. W czasie tej podróży pozwolono nam siedzieć na podłodze. W innych wagonach więźniowie mieli gorzej, gdyż całą drogę musieli leżeć na gołych deskach. Przez całą drogę myślałem o tym, co też oni z nami zrobią. Myślałem też o żonie, którą zostawiłem w domu – jak sobie sama poradzi. Wówczas nie wierzyłem, że jeszcze kiedyś ją zobaczę, że wrócę do domu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zapadał wieczór. Pamiętam, że na niebie świecił już księżyc. Po wypędzeniu z wagonów załadowali nas do samochodu podobnego do autobusu i wieźli jeszcze kilka kilometrów. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed bramą obozu w Stutthofie, nad którą powiewała czarna chorągiew. Jeżeli ktoś chował jeszcze resztki nadziei, to w tym momencie chyba ostatecznie go opuściły. Jeden z żołnierzy zameldował coś wartownikowi, po czym wjechaliśmy do obozu. Najpierw rozlokowali nas w baraku przed obozem właściwym. Zaraz po przyjeździe przyszedł do nas pewien młody Polak, też więzień, który oświadczył, że będzie się nami opiekował. Tak zawzięcie wypełniał swoje obowiązki, że niejednego wyprawił na tamten świat. Bił nas bardzo często z byle powodu i czym popadło – pejczem, taboretą, kijem ... Inni kapo też nie byli lepsi. Każdego ranka robiono apel. Ustawiali nas na placu według wzrostu. Na komendę: „myce of” – należało czym prędzej zdjąć czapki. Niedaleko mnie stał w szeregu pewien starzec. Znałem go, pochodził z Cieloszki (gm. Turośl). Wiedziałem też, że jest głuchy. Gdy pewnego dnia nie zdążył w porę wykonać komendy, przybiegł do niego ten nasz młody „opiekun”. Zaczął go bić, kopać, aż starzec padł, a następnie zawlekli go do szpitala obozowego. Na apelu musiała być idealna cisza. Słyszeć było tylko szum drzew i morza. Nieraz, stojąc tak na placu, patrzyłem na wierzchołki drzew i myślałem sobie – jak to dobrze byłoby być pta

Wspomnienia z obozu zagłady w Stutthof.



domu ...

Codziennie woziliśmy do pieców węgiel i brykiet na wozach, które miały bardzo duże koła. Pamiętam te wielkie koła i to, że ciągle nas popędzali i bili, a szczególnie tych, którzy nie mieli już sił, by dalej pracować. Po miesiącu przeszliśmy do obozu właściwego. Przydzielili nas do poszczególnych bloków. Tutaj było jeszcze gorzej. Pewnego dnia po południu spotkałem siedzącego pod blokiem starego Jabłońskiego, znajomego z rodzinnych stron. Był chory. Gdy podszedłem bliżej, starzec wyciągnął rękę wskazując przed siebie i zapytał:

- Pioter, czy to prawda, że tu są takie piece, gdzie ludzi palą?

- Tak - odrzekłem - i takie bardzo wysokie kominy, ponad drzewa.

Wtedy on posmutniał jeszcze bardziej, opuścił głowę i powiedział:

- To mnie tam, na japońskiej wojnie i przysypywało, i odłamki raniły, a teraz ... taką śmiercią przyjdzie zginąć.

Jabłoński na tzw. japońskiej wojnie (zbrojny konflikt japońsko - rosyjski w latach 1904 - 1905) był wielokrotnie ranny, ale w końcu wrócił do domu. Z KL Stutthof jednak już nie wrócił.

Pewnego razu zachorowałem na dyzenterię i dostałem się do szpitala. W sali, w której leżałem, było dwóch Rosjan. Pełnili tutaj funkcję jakby salowych. Pierwszej nocy prawie nie spałem. Dokuczał mi brzuch, ale także z powodu tych dwóch. Ciągle na kogoś złorzeczyli. Pamiętam, że jeden z nich robił na drutach rękawice. Ten drugi mówił wciąż, że kogoś wykończy. W końcu wstał, podszedł do łóżka, na którym leżał ów starzec z Cieloszki. Wyciągnął pasek ze spodni, założył mu na szyję i powłókł staruszka do pomieszczenia obok. Słyszałem jęki, potem charczenie, aż wreszcie wszystko ucichło. Rosjanin wyszedł, powiedział, że już po wszystkim i gdzieś odszedł. Za jakiś czas zobaczyłem, że domniemany nieboszczyk wyszedł z tego pokoju i na czworakach dowlókł się do swego łóżka, a następnie położył się na nim. Kiedy wrócił Alosza, bo tak miał na imię ten Rosjanin, był bardzo zdziwiony, ale już nie próbował drugi raz go uśmiercić. Jednak później bardzo często go bili, aż w końcu starzec zmarł. Mnie przenieśli do innej sali. Było tu wielu Kaszubów, z którymi szybko się zapoznałem. Czasami po kryjomu chodziłem po chleb, który przynosiłem z kuchni w poszewce poduszki. Miałem tam znajomego, który suszył chleb na piecu, a następnie

Wspomnienia z obozu zagłady w Stutthof.

pakował go do worków. Miał tego tyle, że nikt się nawet nie zorientował, gdy czasem trochę ubyło. Sam, z powodu moich dolegliwości, nie mogłem dużo jeść, więc rozdawałem chleb znajomym. Dostawałem też paczki z żywnością od żony, które też rozdawałem.

W niedzielę przed obiadem brali chorych na opatrunki. Po obiedzie można było się umyć i ogolić. Kiedy poczułem się trochę lepiej, mianowano mnie opiekunem. Żyło mi się teraz dużo lepiej. W obozie byli tacy, którym udawało się nawet wódkę pędzić. Co pewien czas lekarz decydował, kogo pozostawić nadal w szpitalu, a kogo należy wypisać. W końcu przyszła kolej i na mnie. Wiosną wróciłem do bloku. Teraz musiałem codziennie ciężko pracować. Między innymi nosić długie ciężkie kłody drewna. Każdy kombinował, jak mógł. Ci niżsi starali się zawsze wejść między wyższych, by mieć lżej nieść. Czasami udawało się, a czasem kończyło się to ciężkim pobiciem przez kapo. Kiedy zakładali kanalizację, musieliśmy kopać rowy, a następnie kłaść rury. Gdy pewnego dnia kapo rozdawał chleb, któryś z więźniów powiedział, żeby mi nie dawać, ponieważ mam biegunkę, więc po co marnować jedzenie. Byłem głodny, więc po cichu wyraziłem swoje niezadowolenie – zamiast rodaka poratować, to on ... Kapo musiał usłyszeć moje słowa, gdyż natychmiast odwrócił się, chwycił łopatę i uderzył mnie w rękę. To był zły człowiek. Po powrocie do bloku widziałem, jak kopał Stomskiego, mojego sąsiada. Walił jego głową o ścianę, aż powybił mu wszystkie zęby. Po kilku dniach zmarł. Bił go, ponieważ tamten nie poszedł do roboty. Nie mógł, był zbyt wycieńczony i chory. W sąsiednim bloku kapo był Niemiec, ale był o wiele bardziej ludzki od tego Polaka. Nawet jeść trzeba było bardzo cicho. Jeśli coś mu się nie spodobało, potrafił rzucić taboret. Oprócz tego, że często bił więźniów, to jeszcze wyzywał. Pewnego razu kazał więźniowi bić jakiegoś Rosjanina, który podobno ukradł kawałek chleba. Kiedy zobaczył, że ten bije zbyt słabo, sam chwycił taboret i uderzył trzy razy. Rosjanin już nie wstał. Podobne zdarzenia były tam na porządku dziennym.

Przez jakiś czas grupa około 500 osób wychodziła poza obóz. Ja również znalazłem się w tej grupie. Niemcy budowali tam podobno fabrykę amunicji. Zaczęto nawet zwozić jakieś maszyny. Kiedy jednak Niemcy usłyszeli o rosyjskiej ofensywie, z miejsca zakazali wychodzenia za bramę. Teraz pracowałem w kuchni przy obieraniu ziemniaków. Miałem czasem okazję ukraść parę ziemniaków dla siebie i dla kolegów. Nie trwało to jednak długo. Niemcy musieli ewakuować obóz.

„W styczniu 1945 r. wojska radzieckie znajdowały się w odległości 40 – 50 km od Stutthofu. Zbliżanie się frontu wschodniego miało decydujący wpływ na podjęcie decyzji o ewakuacji obozu. 25 stycznia 1945 r. po zarządzonym przez komendanta obozu o godzinie 4 rano apelu na trasę ewakuacji wyszło 7 kolumn, liczących od 1100 do 1600 więźniów. Dalsze dwie kolumny opuściły obóz 26 stycznia 1945 r. Celem docelowym więźniów stały się niemieckie obozy służby pracy (RAD), rozmieszczone w kilku miejscowościach w pobliżu Łęborka. Poszczególne kolumny osiągnęły cel w dniach od 2 do 4 lutego 1945 r. Do marca 1945 r. więźniowie przebywali w obozach ewakuacyjnych, gdzie głód i choroby nadal dziesiątkowały więźniów. Dopiero w dniach 9 – 12 marca więźniowie zostali przejęci przez wojska armii radzieckiej”.

Pędzili nas przez dziewięć dni na zachód. Dobrze, że miałem jeszcze trochę zapasu żywności z paczki, którą przysłała mi żona tuż przed ewakuacją. Część dałem kolegom, a resztę

Wspomnienia z obozu zagłady w Stutthof.

zostawiłem sobie. Droga była bardzo ciężka. Wielu ludzi padło, wielu zabili Niemcy. Nocowali w stodołach, w kościołach. Po drodze ludzie rzucali jedzenie, ale jeśli zauważył to któryś z Niemców, natychmiast strzelał. Wreszcie dotarliśmy do jakiejś miejscowości, gdzie wpędzono nas do baraku. Było tam bardzo ciasno i brudno. Głównym naszym zajęciem wówczas było łapanie wszy, których mieliśmy pod dostatkiem. Nie mogliśmy ich wytępić. W rezultacie zachorowałem na tyfus. Miałem wysoką gorączkę. Był akurat wśród nas lekarz. Wprawdzie nie mógł mi pomóc, ale pocieszył mnie, że na pewno przetrzymam. Kolega wypatrzył w pobliżu krowę. Wydoił ją i przyniósł mi trochę mleka. Byliśmy tam kilka tygodni. Pewnego dnia zauważyliśmy, że Niemcy zaczynają uciekać. Było ich coraz mniej i przestali nas pilnować. Wreszcie przyszli Rosjanie. Natychmiast wzięli nasze ubrania do parowni, żeby oczyścić z brudu i wszy. W domach, które opuścili Niemcy, urządzili nam kwatery. Dali mąkę, zorganizowali nam pracę i wzajemną opiekę. Mieliśmy być samowystarczalni – sami sobie przygotowywać posiłki, sprzątać, opiekować się chorymi. Zorganizowali nawet szpital polowy, a do nas przychodziła często sanitariuszka. Pamiętam, że pomogła pewnemu człowiekowi, który stracił w obozie mowę. Wyleczyła go. Ci Rosjanie naprawdę nam pomogli. Powoli niektórych z nas wypuszczano do domów, innych kierowano do Lęborka. Natomiast grupa, w której ja byłem, przeszła pod eskortą Rosjan kilka kilometrów dalej, do pewnej wsi, gdzie zapędzono nas do stodoły, a następnie zakwaterowano nas w szkole. Razem z nami byli także Niemcy – więźniowie. Niektórzy z naszych zaczęli bić Niemców i znęcać się nad nimi, czego Rosjanie stanowczo nam zabronili. Byliśmy tam chyba przez tydzień, a następnie wyruszyliśmy do Sopotu, gdzie mieliśmy otrzymać przepustki do domów. Po dostarczeniu na miejsce nakarmili nas, ale powiedzieli też, że jeśli chcemy jeść, to musimy pracować. Namawiali, żeby zapisać się do milicji. Niektórzy zapisali się, ale ja i wielu innych, byliśmy zbyt chorzy, by pracować. Poszliśmy do lekarza, który wydał nam zaświadczenia o niezdolności do pracy.

Wreszcie po kilku dniach wydano nam przepustki. Ruszyliśmy pieszo do Gdańska. Szliśmy 30 kilometrów torami. Po drodze spotkaliśmy niemieckich jeńców pracujących przy naprawie torów i mostu. Kilku z nas rzuciło się na nich i zaczęli bić, popędzać do pracy – tak jak oni niedawno z nami robili. Wkroczyli jednak w porę rosyjscy żołnierze i powstrzymali Polaków. Dotarliśmy wreszcie do Gdańska, gdzie przyszło nam jeszcze dość długo czekać na pociąg. W końcu pojechaliśmy towarowym. Wagony nie miały dachu, ale cieszyłem się, że wreszcie wracam do domu. Po drodze nikt nas nie zatrzymywał, nie sprawdzał przepustek. Dopiero w Szczytnie zatrzymali nas, by sprawdzić przepustki. Tutaj znów trzymali nas tydzień. Cały czas byliśmy pod eskortą Rosjan. Zabrali nam przepustki i zakazali samodzielnego oddalania się. Nie chciałem już dłużej czekać. Pewnego popołudnia postanowiłem uciec, mimo iż nie miałem przy sobie przepustki. Przed wieczorem poszedłem do ubikacji i czekałem, aż się ściemni. Kiedy było dostatecznie ciemno, wyszedłem i ukradkiem przez pole łubinu dotarłem do torów. Za torami zaczęły się łąki. Gwiazdy i księżyc wyznaczały mi drogę. Doszedłem do rzeki. Idąc wzdłuż niej dotarłem do mostu. Tutaj zatrzymał mnie rosyjski strażnik. Na szczęście nie chciał ode mnie przepustki. Zadowolił się woreczkiem tabaki, który akurat miałem przy sobie. Później wszedłem w jakieś bagno. Było ciemno, ale udało mi się przez nie przejść. Dotarłem do stojącej pod lasem chaty. Zapukałem

Wspomnienia z obozu zagłady w Stutthof.

do okna, lecz nikt nie odpowiadał. Krzyknąłem, że wracam z obozu i potrzebuję pomocy. Początkowo nie wierzyli mi, ale kiedy gospodarz uchylił drzwi, szybko przekonał się, że mówię prawdę. Miałem jeszcze na sobie obozowe pasiaki. Dali mi jeść, pozwolili się ogrzać i wysuszyć ubranie. Rozmawialiśmy do późna w nocy. Nazajutrz, a była to niedziela, gospodarz wraz z żoną wybierali się do znajomych na chrzciny. Podjechałem z nimi kawałek, a dalej ruszyłem pieszo w kierunku Myszyńca. Po drodze zabrał mnie na furmankę jakiś młody chłopak, który jak się okazało, również był w obozie w Stutthofie. Zaprosił mnie do swego domu, gdzie posiłem się i odpocząłem nieco, po czym ruszyłem w dalszą drogę. Przed wieczorem dotarłem do Myszyńca. Wszedłem do pierwszej napotkanej chałupy. Mieszkała tam żona organisty, która ugościła mnie kapuśniakiem i herbatą. Po chwili ruszyłem dalej. Był już późny wieczór, gdy doszedłem do wsi Wolkowe. Tutaj w dwóch kolejnych chałupach odmówiono mi noclegu. Dopiero w trzeciej znalazł się dla mnie kąt do spania i coś do zjedzenia. Tłumaczyli mi, że ludzie boją się wpuszczać obcych, gdyż grasują tu różne bandy. Następnego dnia doszedłem wreszcie do Zalasa, do mego kuzyna. Gdy wchodziłem na podwórko, nalewał akurat wodę krowom. Początkowo nie poznał mnie. Dowiedziałem się od niego, że u mnie w domu wszystko w porządku, że czekają na mnie, a żona wystarała się nawet o konia. Przed wieczorem odwiózł mnie furmanką do domu. Natychmiast zbiegli się sąsiedzi, pytali o swoich bliskich. O niektórych wiedziałem na pewno, że już nie wrócą. Ja wróciłem. Kiedy teraz sięgam czasami pamięcią do tych dni spędzonych za drutami, to jakbym wciąż jeszcze słyszał jęki bitych, maltretowanych i konających, to jakbym znów widział swoich kolegów i sąsiadów, którzy umierali tam, na moich oczach. I wciąż trudno mi uwierzyć, że mnie udało się wrócić, i wciąż nie rozumiem, w imię czego ci wszyscy ludzie musieli zginąć?

Piotr Butler wielokrotnie opowiadał tę historię podczas długich jesiennych czy zimowych wieczorów, gdy przychodził do nas, podobnie jak inni sąsiedzi „na ziele”. Za każdym razem wsłuchiwałem się w tę opowieść z zapartym tchem. Kiedyś, jako kilkuletni chłopiec obiecałem panu Butlerowi, że kiedy dorosnę, to opiszę te wspomnienia. Po latach poszedłem do niego z tym zamiarem. Pan Piotr był niezwykle ciepłym i życzliwym człowiekiem. Oczywiście zgodził się. Od dawna mieszkał sam. Usiedliśmy w kuchni przy stole, który stał przysunięty do okna wychodzącego na podwórko. Na nowo, choć po raz kolejny, przeżywałem razem z nim te okrutne czasy. Tym boleśniej, że wówczas razem z nim był tam też mój dziadek, ale jemu nie udało się wrócić. Dziś przechodząc czasem nieopodal patrzę w to puste okno, z którego nikt już od dawna nie wygląda. Piotr Butler zmarł 30 października 2001 roku przeżywszy ponad 91 lat.

„W ciągu ponad 5 lat działalności obozu koncentracyjnego Stutthof zarejestrowano w nim łącznie około 110 000 więźniów. Byli oni obywatelami 28 państw, nie tylko europejskich. [...] Z ogólnej liczby około 110 000 więźniów około 24 600 przeniesiono do innych obozów koncentracyjnych. W wyniku zastosowania bezpośrednich metod uśmiercania więźniów, jak również w wyniku wytworzonych ekstremalnych warunków bytowych, chorób, braku opieki lekarskiej oraz ciężkiej pracy, zwłaszcza w podobozach, a także w wyniku ewakuacji obozu liczbę ofiar obozu koncentracyjnego Stutthof szacuje się na około 63 000 do 65 000. Wśród nich około 28 000 to więźniowie narodowości żydowskiej. Około 23 000 zmarłych więźniów

Wspomnienia z obozu zagłady w Stutthof.

to ofiary obu ewakuacji KL Stutthof”.

Kilka lat temu podjąłem inicjatywę budowy pomnika ku czci zamordowanych w czasie II wojny światowej w obozach koncentracyjnych Stutthof, Działdowo i innych miejscach kaźni – rodaków z Parafii Lemana. Nie łatwo było ustalić listę zamordowanych. Pomogli mi pracownicy Muzeum w Sztutowie, mieszkańcy Lemana, Zimnej i Łachy, a także pracownicy naszej gminy. Do inicjatywy tej włączył się ksiądz kan. Grzegorz Polesiński – proboszcz naszej parafii, a także pan Piotr Niedbała – Wójt Gminy Turośl, który skutecznie zabiega o środki finansowe. Pomnik, którego istotną częścią będzie tablica z nazwiskami zamordowanych, umiejscowiony zostanie na cmentarzu grzebalnym w Lemanie. Będzie to wyraz naszej nieustannej pamięci ich cierpienia i niewinnej śmierci.

(Zdjęcie nr 2 z:

http://pomorskie.travel/Odkrywaj-Dziedzictwo_kulturowe-Muzea/1631/Muzeum_Stutthof_w_Sztutowie

Zdjęcie nr 3 z: <http://www.gross-rosen.eu/images/2010/06/komendantura-d.jpg>)

Leszek Czyż

Autor wpisu: **Leszek Czyż**